



Fiordy zachodnie

2.08.2017

Po przeszło trzech godzinach siedzenia w małej przydrożnej kafejce zaczynam czuć się w Brjánslækur prawie jak w domu. Ze wszystkim zdażyłam się już zapoznać – i z opustoszałym o tej porze portem, i z widocznym w oddali samotnym kościółkiem, i z pustym parkingiem i... To chyba tyle. Cóż, Brjánslækur duże raczej nie jest: kilku ludzi, trzy razy tyle owiec i samochody przejeżdżające drogą wzdłuż wybrzeża – średnio 1-2 na godzinę. I my. Podróżni czekający na busa tak długo, że chyba jesteśmy uznawani już za stały element wyposażenia kawiarni, będącej jednocześnie miejscem sprzedaży biletów na prom do Stykkisholmur.



źródło: icelandnews.is

Prom kursuje dwa razy dziennie – rano i wieczorem – i tyle samo razy Brjánslækur ożywa na chwilę, owce unoszą głowy znad trawy by przyjrzeć się wjeżdżającym na parking samochodom. Ludzie wpadają do środka, kupują kawę i odstają swoje w obowiązkowej kolejce do toalety... A potem znów zapada cisza, a dwupasmowa droga pustoszeje. Nikt na mnie nie trąbi, gdy przechodzę na drugą stronę, na wybrzeże, bo zwyczajnie nikogo tu nie ma, a nawet gdyby był, to prędzej spojrzalby się na mnie dziwnie – czego ja tam szukam? No fakt, z szosy nie widać wielkiej sterty muszli, pozostałej po dawnej przetwórni ostryg. Muszle trzeszczą pod nogami jak porcelana, a ja zastanawiam się, za ile schodziłby w takich Międzyzdrojach czy innym Sopocie – są duże, prawie wielkości mojej pięści, różowe, białe i pasiaste. Pewnie sporo. Ale tutaj nikt ich nie zbiera, nawet wszechobecne owce zezują na mnie niepewnie, gdy chowam kilka do kieszeni.

Brjánslækur to małe Nic pośrodku Większego Nic, a jednak nie przyjechaliśmy tu przypadkiem. To stąd ruszymy dalej w głąb Fiordów Zachodnich

3.08.2017

Niewiele turystów przyjeżdża na Fiordy Zachodnie. A jeśli już, to dopiero będąc drugi, trzeci raz na Islandii – mówi nam pani, będąca kierowcą busa jedynej linii kursującej po tym zakątku Islandii. W ciągu najbliższych kilku dni natkniemy się na nią jeszcze kilka razy – i prawie z każdym razem będziemy jedynymi pasażerami. Pominąć trzeba tylko ten jeden przypadek, kiedy dosiadł się do nas pewien Niemiec – niemłody już osobnik, podróżujący przez Islandię na rowerze. Zarówno Niemiec, jak i rower przejechali z nami odcinek między malowniczym, rozpościerającym się na skale jak zasłona wodospadem Dynjandi a Isafjörður, a potem ruszyli w swoją stronę.

Jesteśmy w drodze na Látrabjarg, wysunięty najdalej na zachód skrawek tej wyspy lodu i ognia. Poprzedniego dnia, po łącznie sześciu godzinach czekania w Nic pośrodku Niczego – to jest, Brjánslækur - w końcu doczekaliśmy się autobusu, który bezpiecznie dowiózł nas do Patreksfjörður. Podkreślam, bezpiecznie, bo trasa na taką nie wyglądała – najpierw pieliśmy się pod górę, wydawało się, że bez końca, potem natomiast nagle, bez ostrzeżenia, otworzyła się przed nami ogromna dolina, pocięta strumieniami i piargami. Na szczycie góry, z której rozciągał niesamowity widok na leżące hen w dole Patreksfjörður, stała ułożona z kamieni figura z grubsza przypominająca człowieka. Poinformowano nas, że ustawiono ją tu stosunkowo niedawno, jako swego rodzaju amulet szczęścia

– żeby to szczęście uzyskać, należy pomachać. Pomachaliśmy wszyscy – cóż, przy takim zjeździe szczęścia nigdy dość – i najwyraźniej to nam pomogło.



Látrabjarg to przeszło czterystumetrowy klif długości czternastu kilometrów, jednak to nie dla jego rozmiarów co roku ściągają tam rzesze turystów – a są to faktycznie tłumy, na tyle liczne, że właściciele letnich domków w okolicy poustawiali przy drodze fałszywe znaki ograniczenia prędkości, żeby nie zakłócano im spokoju. Nie, powód licznych wizyt jest zupełnie inny, ma duży, pomarańczowy dziób, duże, jakby wiecznie zatroskane oczy i nieproporcjonalnie krótkie skrzydła. Na Látrabjarg co roku gniazdują stada maskonurów.

Te małe, czarne ptaki prawie całe życie spędzają na morzu. Po pierwszym opuszczeniu gniazda nie wracają na ląd nawet na chwilę aż do pierwszego sezonu lęgowego, a i ten trwa krótko – od 38 do 49 dni, a pisklęta gotowe są opuścić dom już po 6 tygodniach. Żeby więc zobaczyć gniazdujące na klifach maskonury trzeba się spieszyć – połowa sierpnia to już w zasadzie ostatni dzwonek. My akurat mamy szczęście, choć pogoda może mówić coś innego.

Na dworze jest, co tu dużo mówić, nieprzyjemnie – zimno, wietrznie, a od oceanu zaczyna drobnym deszczem. Wsiadamy z ciepłego busa nie spodziewając się nic specjalnego – ot, może mignie nam gdzieś kawałek czarnego skrzydła, albo ptak lecący daleko, nad wodą. Ale na pewno nie spodziewaliśmy się, że ledwo podejmiemy do klifu, a już napotkamy przyglądające się nam bez strachu okrągłe, szare oczy.

Pierwszy maskonur budzi emocje – zapominając o deszczu, kładę się na mokrej trawie, celuję w ptaka obiektywem i strzelam zdjęcie za zdjęciem – ten zaś nawet okiem nie mrugnie, chwilę tylko drepcze w miejscu i drapie się łapą po głowie. O, a tam, jeszcze bliżej, siedzi kolejny! I jeszcze jeden! O, a żeby zobaczyć tego, nawet nie trzeba wychylać się zza krawędzi klifu!!!

Maskonury gapią się na aparat, nie zdradzają jednak lęku. Ten schował łeb w pióra i zasypia, tamten przestępuje z nogi na nogę... Nie mają zamiaru uciekać, co najwyżej wycofują się do swoich wydrążonych w klifie jam. Teraz rozumiem, czemu nadal zjada się te piękne stworzenia – po prostu łatwo je złapać, bo młode, tegoroczne maskonury często pierwszy raz widzą człowieka na oczy i zwyczajnie nie wiedzą, że powinny uciekać.

Jak można zjeść to ucieleśnienie łagodności i rozczulającej ciapowatości, nie mam pojęcia. Nie rozumiem też, jakim cudem godzina minęła tak szybko – musimy jechać dalej. Robię ostatnie zdjęcie zrywającego się do lotu maskonura – przypomina mały bombowiec, mknący w dół, ku morzu, mimo wysiłków maleńkich skrzydełek. Ptak długim ślizgiem ląduje na wodzie i odplywa w sobie tylko znanym kierunku, my też ruszamy w swoją stronę. Wciąż mamy do odkrycia ładny kawał fiordów. Chociaż... nazwa naszego następnego przystanku, Isafjörður – w dosłownym tłumaczeniu „lódowy fiord” – nie brzmi zbyt zachęcająco. Cóż, tutaj aż człowieka kusi, by podsumować pogodę słynnym cytatem z „Gry o tron” – Winter is coming...



Maskonur zwyczajny, maskonur

4.08.2017

Nigdy nie oglądałam „Ptaków” Hitchcocka, ale po kilkugodzinnym pobycie na kempingu w Isafjörður zaczynam rozumieć, dlaczego budziły taką grozę. Jeśli ktoś jeszcze ma wątpliwości, proszę wleźć w sam środek terenu lęgowego rybitw...

Te typowo morskie ptaki są chyba jedynymi, które z uporem maniaka gniazdują nie wśród stromych klifów czy niedostępnych skał, a na płaskiej jak błat ziemi – przy drodze, którą regularnie jeżdżą pełne turystów autokary, na ogólnodostępnej plaży albo na... tak, na polu namiotowym. I niech boi się Boga ten, kto ośmieli się wejść na ich terytorium... Zaraz usłyszysz złowróżbne, wrzaskliwe „kaka-kaka”, a chwilę potem w jego stronę pomknie zakończony ostrym dziobem pierzasty pocisk. Przeleci metr nad głową delikwenta i będzie powtarzał ten manewr póki intruz się nie wycofa... Pod nadzorem wiszącej mu wspomniany metr nad głową wścieklej matki. Doświadczenie dla uzależnionych od adrenaliny.

Poza rybitwami Isafjörður zapadło mi w pamięć prawdopodobnie za sprawą rozmiarów – to jedno z większych miast – choć na polskie standardy 2,5 tysiąca osób to raczej mało – w północnej części Islandii. Umiejscowione na skraju fiordu o tej samej nazwie, jest jednym z ważniejszych węzłów komunikacyjnych na drodze między Grenlandią, Reykjavikiem i Akureyri, a także bazą wypadową do chyba najbardziej odosobnionego miejsca na tej wyspie – nienajętego w typowo islandzkiej mgłę rezerwatu przyrody „Hornstrandir”.

5.08.2017

Jeśli Patreksfjörður uzna się za „małe” to wioskę Hesteyri na terenie Hornstrandiru, według tej samej skali, należałoby nazwać „nieistniejącą”. I byłoby to całkiem słuszne określenie, ponieważ oficjalnie zarówno Hesteyri, jak i inne miejscowości na tym półwyspie, zniknęły w latach 50. XX wieku - kiedy zaprzestano w tym regionie połowów wielorybów, z których utrzymywali się mieszkańcy. Obecnie, Hesteyri istnieje tylko w okresie letnim – na terenie dawnej wioski nad brzegiem fiordu stoi kilka małych domków letniskowych. Zimą natomiast przysypane śniegiem budynki milczą – podobnie jak pozostałości dawnego cmentarza i ruiny starej stacji wielorybniczej dwa kilometry dalej, Hornstrandir zaś niepodzielnie należy do mew, alk, maskonurów, fok i lisów polarnych.



Na półwysp można dostać się jedynie drogą wodną – małą łodzią motorową, która regularnie, przez całe lato, kursuje między Hesteyri a cywilizacją. Przewozi ona zarówno spragnionych prawdziwej dzicy podróżników, jak i islandzkich letników. Jak ich odróżnić? Ci pierwsi z pewnością będą owinięci w kilka warstw ciepłych, zimowych ubrań, a do ziemi przyginać ich będą wielkie plecaki. Prawie na pewno będą też Hiszpanami, Francuzami albo Niemcami – to te języki słyszy się najczęściej na kempingach. Islandczycy natomiast na 99% nosić będą tradycyjny wełniany sweter, a spod pokładu wyciągną torby, torebki i torebeczki – wszystko, co niezbędne na wakacyjny pobyt w głuszy. To nie oni będą się gapić z niepokojem na smagany wiatrem spłachetek płaskiej (w teorii...) ziemi, na której stoi samotny namiot - o nie, raczej zerkać będą na dachy swoich letnich domów, szukając dziur po zerwanej przez zimowy wichur blasze.

Po dobieciu do brzegu obie grupy rozejdą się – letnicy ruszą na spotkanie sąsiadów, którzy przyplłynęli wcześniej, podróżnicy zaś niepewnie podrepczą w stronę pola namiotowego. Po chwili wszystko będzie jasne – tak, to tu, gdzie stoi ten jeden, szargany przez wiatr namiot, mają postawić swój. Za darmo, co istotne na stosunkowo drogiej Islandii. Widoki na topniejący na szczytach gór śnieg, lodowata woda ze strumienia i brak prysznic included.

**6.08.2017**

-W zeszłym roku śnieg się trzymał do czerwca – informuje nas właścicielka Old Doctor's House, jedynej kawiarni w Hornstrandirze, urządzonej w domu należącym dawniej do lekarza. Jak wszystko w Hesteyri, biznes funkcjonuje od maja do sierpnia, a należy do Islandczyka i Niemki, naszej rozmówczyni. – Tutaj zimy nie są bardzo mroźne, ale długie. I wietrzne – w zeszłym roku wiało tak, że szyby w oknach się wyginały! Nie wiedziałam, że szkło jest tak elastyczne, nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego! – dodaje. W odpowiedzi wybałuszamy oczy i jeszcze gorliwiej wgrzamy się w tradycyjne islandzkie naleśniki, smażone z cukrem i podawane do jedzenia bez jakichkolwiek sztuczków – je się je palcami.

Za oknem leje. Wciąż liczymy, że w końcu zadziała słynne islandzkie przysłowie: „Jeśli nie podoba ci się islandzka pogoda, poczekaj pięć minut”. Cóż, pada od rana. Nie ma chyba gorszego dźwięku niż deszcz uderzający w tropik namiotu...

-Pogoda to część naszego życia, tutaj, na Islandii - mówi pocieszająco właścicielka Domu Starego Doktora.

Cóż, coś w tym jest. Trzeba się po prostu przyzwycząić.

Kwadrans później ponownie wychodzimy na deszcz. Pada prawie poziomo.



7.08.2017

Świadomość, że wszystkich ludzi w promieniu kilkudziesięciu kilometrów można policzyć na palcach dwóch rąk, początkowo może być trochę przytłaczająca. Ciężko uwierzyć, że za tymi wszystkimi górami nie ma nic... tylko kolejne góry – istna pustynia kamieni, śniegu, mchów i drobnych, skarłowaciałych roślinek, próbujących łapać cenne promienie letniego słońca. Bo dzisiaj fatycynie czuć, że jest lato. Co prawda arktyczne, ale to zawsze coś.

Po deszczu nie ma nawet śladu – niebo jest bezchmurne, niebieskie jak akwamaryna. Panuje też islandzki upał – zaryzykowałabym stwierdzenie, że temperatura skoczyła do 15 stopni. Ruszamy zatem na szlak.

Tylko najpierw trzeba go znaleźć, a to już nie jest takie proste. Na kupionej w Isafjörður mapie niby są zaznaczone jakieś ścieżki, ale w rzeczywistości ścieżki te kończą się po kilkunastu metrach – dalej porasta je trawa. Niewiele ludzi musiało w tym roku odwiedzić Hornstrandir. Kluczemy więc trochę na ślepo, kierując się wyznacznikami trasy „zimowej” – swoją drogą, ciekawe, kto nią chodzi – oznaczonej stertami kamieni, wyglądającymi jak małe kurhany. Koniec końców docieramy do zgubionego wcześniej szlaku, a wtedy, już zdecydowanie, podejmujemy marsz pod górę, na północ.

To jedna z tych wycieczek, podczas których ważniejsza jest droga, a nie cel. Do odległego o jakieś 7 godzin marszu Látranæs i tak nie dojdziemy, chociaż to tam prowadzi – tak teoretycznie – nasz szlak. Będziemy musieli zawrócić w trakcie, jak się później okaże – na wysokości jednej ze śniegowych plam, pozostałych po zimie. Do powrotu częściowo zmusza nas pogoda – słońce zniknęło bez uprzedzenia i znowu zaczyna wiać – a częściowo droga, która ni stąd, ni zowąd rozplynęła się wśród kamieni. Trochę drepczemy po skalistej ziemi, ale bez skutku – ścieżki jak nie było, tak nie ma, a że do wiatru dochodzi mgła, uznajemy, że lepiej wracać do namiotu. O ile jeszcze stoi...

Według jednej z islandzkich legend – choć nie wykluczone, że to tylko opowiadanie dla turystów - wyspa powstała z resztek tego, co pozostało po tworzeniu reszty świata. Bóg – lub bogowie, ponieważ opowieść ma wersję chrześcijańską i pogańską – zapomniał o tym skrawku ładu i przypomniał sobie dopiero wtedy, gdy już właściwie ukończył pracę nad innymi miejscami. Ponieważ nie zostało mu wiele, uznał, że da Islandii wszystkiego po trochu, za to najlepszej jakości. W efekcie powstała wyspa lodu i ognia, gór i równin... Oraz lodowców i bajkowych, czarnych plaż.

Za pierwszym razem nie mogłam oderwać oczu od czarnego, wulkanicznego piasku. Teraz jednak, idąc brzegiem morza w Hesteyri, jestem do niego przyzwyczajona mniej więcej tak, jak do majaczących w oddali gór – tutaj takich widoków jest na pęczki. Interesuje mnie coś innego – ślady na tymże czarnym piasku.

W Hesteyri ani na terenie reszty Hornstrandiru raczej nie widuje się psów – troska o ekosystem półwyspu zabrania ich na teren rezerwatu. Ślady przede mną natomiast są ewidentnie psie. Albo lisie. A lisy, owszem, spotkać tu można. Polarne, oczywiście.

Czym różni się lis polarny od naszego europejskiego rudzielca? Cóż, przede wszystkim – zdecydowanie nie jest rudy. Latem kolor jego futra oscyluje wokół brązu – można jednak spotkać osobniki czarne niczym węgiel lub beżowe jak kawa z mlekiem. Dodatkowo jest mniejszy, puchaty jak maskotka i ma małe, zaokrąglone uszy. I, jak się okazuje, nie boi się ludzi – nie dlatego, że są ludźmi. To piękne, że są jeszcze takie miejsca, w których możemy zaniepokoić zwierzę tylko dlatego, że jesteśmy czymś nowym, nieznanym – a nie dlatego, że ktoś próbował kiedyś przerobić je na futro.

Ślady niestety nie mają zamiaru doprowadzić mnie do ich twórcy. W pewnej chwili skręcają w pas nadbrzeżnych traw i znikają – przynajmniej dla moich oczu. Zupełnie jak ten nieszczęsny szlak kilka godzin temu... Zrezygnowana chowam aparat do torby i ruszam w stronę namiotu – teraz, kiedy ekscytacja minęła, czuję, że zrobiło się chłodniej – to jedyna oznaka zapadającego wieczoru, jest tak jasno, jak kilka godzin temu. Pochylam się, żeby zawiązać but... i wtedy kątem oka zauważam jakiś ruch na plaży w dole.

Kilka gorączkowych susów i ponownie zapadam się w czarnym piasku. Rozglądam się. Pusto. Pewnie mi się wydawało... ale mimo to podkradam się kilka kroków dalej. Mijam zakręt.

I stajemy naprzeciw siebie – ja, z ustami rozwartymi jak głodna mewa na Látrabjarg, i on – z kawałkiem drewna w zębach. Młody, polarny lisek gapi się na mnie przez kilka pełnych sekund, zanim da sus w bok i galopem umknie przez ostre, wysokie trawy. A ja, głupia, nawet nie włączyłam aparatu...

Ale widziałam! To się liczy! – powtarzam sobie w myślach i ponownie rozpoczynam odwrót do namiotu. Wspinam się po stromej, omszałej skarpie i pierwsze, co widzę na górze, to to, że ktoś mnie wyprzedził.

Czarny lis na tle zielonego namiotu nie daje się pomylić z czymkolwiek innym – nie ma mowy o przywidzeniach. Zwierzak zamarł w bezruchu, zupełnie nieczuły na obecność ludzi w namiocie, i rozgląda się czujnie. Przez chwilę wygląda jak mały posążek - ani drgnie. Rusza się z miejsca – powolnym, statecznym truchtem, jakby leniwie – dopiero wtedy, gdy trzeci lub czwarty raz usłyszy dźwięk migawki aparatu. Niczym władca świata podbiega do stojącego kilkanaście metrów dalej stołu, naznacza teren, i wreszcie, jak na dzikie zwierzę uciekające przed człowiekiem przystało, znika w gęstych trawach.



Później lisy widzimy jeszcze kilka razy - do czarnego władcy dołącza jego młodszy kolega, jasnobrązowa puchata kulka. Za każdym razem przebiegają przez pole namiotowe jak duchy - bezszelestnie, bez śladu, nie okazując nam zainteresowania. Ale mimo to trzymają się na dystans - kilkanaście metrów to dla nich ostateczna granica. W końcu jesteśmy jakimiś nowymi, obcymi zwierzętami. Lepiej nie ryzykować.

8.08.2017

Isafjörður wydaje się teraz prawdziwą metropolią. Nie chcę wiedzieć, czym wyda mi się po powrocie Szczecin - chyba jakimś monstrualnym molochem.

Hesteyri opuściliśmy wczesnym popołudniem - po ostatnim wypadzie na naleśniki i ostatnim spacerze czarną plażą. Stalowszara woda była zaskakująco spokojna - tak spokojna, jak majaczący w oddali lodowiec Drangjökull i nieruchome, szare chmury, spowijające góry wokół. Cisza i spokój tej chwili uderzyły mnie dopiero wtedy, gdy pierwszy raz od kilku dni usłyszałam silnik motorówki - tak łatwo przywykłam do milczenia Hornstrandiru. Chociaż... cóż, nie do końca było to milczenie - pobudka o świcie, zaserwowana przez drące się wściekle mewy, z pewnością nim nie była.



Islandia to jedno z tych miejsc, z których nie można wyjechać obojętnym. W każdym budzi emocje, zarówno dobre, jak i złe. Można kłać na ostre jak nóż, zimne powietrze, na wiatr, który sprawia, że pranie suszy się poziomo (sic!), można wściekać się na pogodę, w jednej chwili mamiącą słońcem, a w następnej spuszczałającej na głowę wiadro wody... Ale dużo łatwiej jest to pokochać. Przejść do porządku dziennego nad tym pogodowym szaleństwem i zamiast tego zachwycić się arktycznym latem i wodospadami, o które, gdyby występowały jeszcze częściej, człowiek zwyczajnie by się potknął, surowymi krajobrazami islandzkiego interioru; położyć się na mchu, w którym człowiek zapada się po kostki i posłuchać, jak bije serce ziemi. Bo jeśli jest jakiegokolwiek miejsce, gdzie można tego posłuchać, to tylko tutaj.

Uwaga na przyszłość: nigdy nie kładźcie się na mchu po deszczu. A już tym bardziej nie podchodźcie pod wodospad, bo akurat „wieje w inną stronę”. To jest Islandia - wiatr zmienia się w ułamku sekundy, a znając życie, wodę zawieje właśnie tam, gdzie staniecie.

opisała i sfotografowała **Joanna Kalita****Złoto Tygrysów - Do Islandii**

Ze wszystkich krain na tym pięknym świecie,
Co me ciało i cień jego znużyły,
Najodleglejsza jesteś i najbliższa,
Ultima Thule, Islandio okrętów,
Mozolnego pługa i wytrwałych wiosł,
Rozpostartych na morskim brzegu sieci,
I osobliwej poświaty wieczorów
Zastygłych, którą blade niebo zsyła
Od świtania, ziemio wichru, co szuka
Zagubionych żagli łodzi wikingów.
Ziemio święta, która byłaś pamięcią
Germanii, ty ocalałaś jej mity
O szarym wilku z żelaznego lasu
I okręcie, przed którym drżą bogowie,
Sporządzonym z paznokci umarłych.
Islandio, śniłem o tobie bez końca
Od tamtego poranka, gdy mój ojciec
Dał dziecku, którym byłem i wciąż jestem,
Volsunga Saga, co po dziś dzień jeszcze
Mój mrok odczytuje z pomocą słownika.
Gdy ciało utrudzone jest człowiekiem,
Gdy żar dogasa, stając się popiołem,
Dobrze jest trwonić czas na studiowanie,
Zgłębiać umysłem to, co nieskończone.
Ja wybrałem twą mowę, tę łacinę
Północy, co ogarnęła równiny
I morza, echem rozbrzmiała w Bizancjum
I na dziewiczych kresach Ameryki.
Nigdy jej nie poznam, ale być może
Moją nagrodą jest poszukiwanie,
Nie zaś owoce roztropnie ukryte.
To samo wiedzą ci, co podpatrują
Bieg gwiazd lub rozplątują cyfr szeregi...
Tylko miłość, ślepa miłość, Islandia.

Jorge Luis Borges

redakcyjna

nieZdziś
niecodzienna gazetka szkolna

ZSO 7 w Szczecinie ul. Unisławy 26, 71-413, Szczecin

Redakcja: Joanna Kalita
Ma.U.**Kontakt z redakcją: www.13lo.szczecin.pl****Opiekun: nauczyciele ZSO nr 7**